

Patriotyzm krajobrazu

25 lipca 2015

O tym, czym jest dziedzictwo kulturowe i przyrodnicze i jak je chronić, o Mazurach i o tym, jak w Polsce lekceważy się długofalowy rozwój, rozmawiamy z Krzysztofem Worobcem – liderem Stowarzyszenia na rzecz ochrony krajobrazu kulturowego Mazur „Sadyba”.

– Jak trafiliście Państwo na Mazury? Czytałem, że zaczęło się od planów biznesowych: mieliście handlować porożami. A skończyliście jako „ekołodzy”...

– To prawda. Był 1989 rok i zmiany ustrojowe złapały nas zagranicą, gdzie przebywałem od stanu wojennego. To nie była planowana emigracja, nigdy nie chciałem mieszkać poza Polską, po prostu byłem w 1981 r. na krótkim wyjeździe i gdy usłyszałem o wprowadzeniu stanu wojennego, postanowiłem nie wracać. Kilka lat później dołączyła do mnie Danusia, z którą wziąłem ślub. Od początku przemian szukaliśmy jednak okazji i sposobu, by się przeprowadzić z powrotem do kraju. Traf chciał, że spotkaliśmy w Berlinie grupę Koreańczyków, którzy zamierzali skupować rogi jelenie. My oczywiście ani o rogach, ani o jeleniach nie mieliśmy zielonego pojęcia, ale 3 czy 4 miesiące później przeczytałem w gazecie, że na Mazurach jest hodowla jeleni. Połączyliśmy fakty i postanowiliśmy pojechać, żeby wy badać sytuację. Mazury natychmiast bardzo nam się spodobały i postanowiliśmy skorzystać z okazji, która się nadarzyła, i założyć swoją fermę jeleni. Szybko okazało się jednak, że hodowla, a już zwłaszcza obcinanie zwierzętom rogów, to nie jest nasza bajka i z całego planu nic nie będzie. Ale mieliśmy już kupioną ziemię i stary, podupadający dom, więc trzeba było spróbować znaleźć tu jakieś inne źródło zarobku. Stwierdziliśmy, że spróbujemy utrzymać się z turystyki. Odremontowaliśmy nasz dom, a potem obok utworzyliśmy „Oberżę pod psem”.

– Długo chodziło po prostu o sposób na utrzymanie. W którym momencie staliście się Państwo zagorzałymi obrońcami lokalnego krajobrazu i jak doszło do tej przemiany?

– To działało się stopniowo. Zaczęło się od tej starej chałupy i jeszcze bardziej rozpadającej się obórki, które kupiliśmy „w pakiecie” z ziemią na fermę. Potem, na początku lat 1990., otworzyliśmy małą kawiarenkę czy raczej sklepik z napojami, kawą i herbatą, papierosami, filmami do aparatów itd. Szybko stwierdziliśmy jednak, że w ten sposób długo nie pociągniemy. Postanowiliśmy wyremontować obórkę. Wkrótce później, na trasie z Warszawy, między Mazurami a Kurpiami, zauważyłem starą drewnianą chałupę na sprzedaż. Najpierw chcieliśmy ją wykorzystać jako tanie źródło materiałów do remontu obórki, ale gdy już kupiliśmy zrobiło nam się jej żal, bo była duża i bardzo ładna, przedwojenna. Zdecydowaliśmy się ją przenieść i postawić u nas w Kadzidłowie. Równolegle rosło nasze zainteresowanie lokalną historią i kulturą materialną, zaczęliśmy sporo czytać na te tematy. Nieopodal naszego domu odkryliśmy stary cmentarz z prawosławnymi krzyżami i zaczęliśmy się zastanawiać, skąd się tu wzięli prawosławni. Kiedy zgłębiliśmy sprawę, okazało się, że to nie były krzyże prawosławne, lecz starowierskie, i że to właśnie staroobrzędowcy byli pierwszymi osadnikami-założycielami naszej i kilku innych okolicznych wsi w latach 1830., że w Puszczy Piskiej była taka rosyjska enklawa. Krok po kroku drążyliśmy kolejne wątki historyczne, a nasza świadomość rosła z każdą kolejną lekturą i każdym kolejnym odkryciem.

– Po pierwszym przeniesionym budynku przyszły kolejne...

– Do tej chwili sprowadziliśmy już cztery duże i dwa mniejsze drewniane domy z różnych części południowych Mazur. Najstarszy ma 200 lat, pozostałe ok. 100. W każdym przypadku to była dla tych budynków kwestia przetrwania, bo wszystkie były już przeznaczone do rozbiórki – gdybyśmy ich nie przejęli, dzisiaj nie byłoby już po nich śladu.

– A one nie powinny znajdować się pod opieką konserwatora?

– Oczywiście, że powinny. Najlepszy przykład to wspomniany już najstarszy dom, klasyczna chałupa podcieniowa, unikalny okaz drewnianej architektury mazurskiej z przełomu XVII i XIX w. Zwrócił na niego uwagę nasz przyjaciel, ale my nie byliśmy jakoś szczególnie zainteresowani, bo właśnie skończyliśmy remont pierwszego sprowadzonego budynku, otwieraliśmy oberżę i mieliśmy poczucie, że to nam wystarczy. Pojechaliśmy obejrzeć ten dom z czystej ciekawości i oceniliśmy, że jest to bardzo cenny zabytek, ale w fatalnym stanie – miał dziurę w dachu i zaczynał się już po prostu walić. Zwróciliśmy się więc do konserwatora z apelem o jego zabezpieczenie. Ten zwlekał jednak z podjęciem jakichkolwiek działań, my wysyłaliśmy kolejne pisma, aż w końcu dach zupełnie się zawalił. Pisaliśmy artykuły do opiniotwórczych gazet, napisaliśmy też skargę do ministerstwa kultury. Dopiero wtedy zaczęło się cokolwiek dziać. Okazało się, że budynek należy do Polskiej Akademii Nauk. Konserwator potwierdził, że jest to zabytek, ale orzekł, że jest już za późno i jego stan uniemożliwia wpisanie go do rejestru. Zalecił tylko zabezpieczenie kilku najcenniejszych, charakterystycznych elementów, bo żaden z okolicznych skansenów nie dał się namówić na przejęcie i odremontowanie budynku. Ze względu na jego stan nikt nie był już zainteresowany przenoszeniem, więc wydawało się, że pozostaje tylko rozbiórka, czyli zniszczenie budynku. My jednak, po doświadczeniach z poprzednimi remontami, byliśmy przekonani, że jest on nadal do uratowania. Na to usłyszeliśmy: jak wam tak zależy, to zróbcie sami. No to zrobiliśmy. W tej chwili jest to jeden z dwóch zachowanych budynków tego typu na całych Mazurach!

– Czyli okazało się, że cały ten instytucjonalny system opieki nad zabytkami nie działa – przynajmniej w Waszym regionie?

– Może nie tyle nie działa, co zbyt często nie jest skuteczny. Potem w tej ocenie mieliśmy okazję jeszcze wielokrotnie się utwierdzić, bo podobnych doświadczeń mieliśmy więcej. Na miarę

naszych możliwości wypełniliśmy tę lukę, choć nauczanie się zasad rekonstrukcji i renowacji zabytków wymagało od nas, laików, sporego wysiłku. Czytaliśmy fachową literaturę, jeździliśmy po muzeach i skansenach, oglądaliśmy, wypytywaliśmy specjalistów. W tym czasie nie było tylu publikacji fachowych i nie dało się jeszcze znaleźć w internecie informacji na każdy temat, więc musieliśmy szukać własnych źródeł i zdobywać wiedzę w sposób empiryczny. Wraz z naszą świadomością i kompetencjami rosło grono ludzi, którym podobało się to, co robimy. Gdy w 1999 r. otworzyliśmy obojętą, bardzo dużo ludzi przyjeżdżało, żeby pytać nas, w jaki sposób takie budynki się przenosi, bo chcieli pójść naszym śladem. W końcu, w 2004 r., założyliśmy wraz z grupą przyjaciół i zainteresowanych Stowarzyszenie na rzecz Ochrony Krajobrazu Kulturowego Mazur „Sadyba”.

– Dlaczego się na to zdecydowaliście?

– W 2004 r., niedaleko naszego domu, właściwie po sąsiedzku, przeznaczono do rozbiórki ładny starowierski budynek – tak jak większość budownictwa staroobrzędowców drewniany, tyle że z wierzchu później otynkowany. Próbowaliśmy temu zapobiec, bo wiedzieliśmy, że to kawałek cennego i zanikającego dziedzictwa. Zwróciliśmy się znów do konserwatora, do lokalnych urzędów i usłyszeliśmy: „A co wam do tego? Nie wasz budynek, nie wasza sprawa!”. I wtedy pomyśleliśmy, że najwyższa pora zawiązać stowarzyszenie, bo jako osoby prywatne jesteśmy ignorowani, a stowarzyszeniu przysługiwać będą względem urzędników pewne uprawnienia: będziemy mogli zgłaszać swoje wnioski, domagać się spełnienia postulatów itd. Głównym celem stowarzyszenia miało być ratowanie lokalnego dziedzictwa materialnego, a w szczególności architektury drewnianej. Zaczęliśmy monitorować sytuację w sposób systematyczny: dokumentować i pisać wnioski do konserwatora, zabiegać o wpisywanie kolejnych budynków do rejestru zabytków itp. Pisaliśmy także artykuły do gazet, starając się upowszechnić świadomość wartości tkwiących w tych często niepozornych i

niedocenianych zabytkach. Wiele osób uzna za zabytek zamek krzyżacki czy gotycki kościół, ale nie drewnianą chałupę. Postanowiliśmy się upomnieć m.in. o mazurskie leśniczówki, spośród których bardzo wiele zostało już niestety zniszczonych. Kiedyś całe te tereny to była bezkresna puszcza – osadnictwo było tu bardzo rzadkie, a w związku z tym leśniczówki odgrywały rolę swoistych centrów cywilizacyjnych. W obecnych czasach okazuje się, że leśnicy wcale niekoniecznie chcą mieszkać w lesie. Leśniczówki nie są również doceniane jako zabytki czy część dziedzictwa kulturowego regionu i są traktowane przez właścicieli jako część „zbędnej infrastruktury”. O jedną taką „zbędną infrastrukturę” – najstarszą leśniczówkę Puszczy Piskiej – walczymy z nadleśnictwem już od 2004 r. Wymieniliśmy setki pism, wygraliśmy trzy sprawy w sądzie administracyjnym – m.in. dwukrotnie skutecznie zaskarżyliśmy decyzję ministra kultury i dziedzictwa narodowego zezwalającą na przeniesienie lub rozebranie tego budynku. W międzyczasie leśniczówka prawie się rozsypała, a oni wciąż nic z nią nie robią, mimo że znajduje się oficjalnie – dzięki złożonemu przez nas wnioskowi – w rejestrze zabytków. Wiele innych leśniczówek, o które walczyliśmy, zostało rozebranych, bezpowrotnie zniszczonych lub nieudolnie zmodernizowanych, ocieplonych styropianem itd. Udało nam się szczęśliwie uratować dwie najcenniejsze – Jezioroko oraz Duży Kamień – które stanowią wizytówkę swojego stylu architektonicznego. Ocaliliśmy również przed rozbiórką szereg innych cennych zabudowań, w tym przemysłowych, takich jak dwie wieże ciśnień w Piszcu, drewniany dworzec w Budwitach, browar, tartak, willa leśna oraz dawne koszary w Olsztynie, a nawet zabudowę zespołu dworca towarowego w Białowieży – łącznie ok. 60 zabytków lub ich zespołów. Szczególnie zadowoleni jesteśmy z efektu naszych działań w kwestii olsztyńskiego tartaku, w którym dzięki naszej inspiracji powstało Muzeum Nowoczesności. Na początku władze miejskie nie chciały z nami w ogóle rozmawiać, dążyły do wykreślenia zabytku z rejestru, by móc rozebrać budynek. Dziś oczywiście szczycą się tą placówką. To dobry przykład na to, jak łatwo

jedną pochopną decyzją zniszczyć wielki potencjał lub stworzyć atrakcyjne miejsce.

– Jednym z obszarów Waszych działań stała się obrona przed wycinką przydrożnych drzew oraz cennych – zarówno ze względów krajobrazowych, jak i przyrodniczych – ich alej rosnących wzdłuż dróg. Z czego wynika, że w ogóle trzeba ich bronić? Przecież o ile da się jeszcze zrozumieć, dlaczego instytucje publiczne bronią się przed obowiązkami i kosztami związanymi z opieką nad zabytkami, o tyle trudno o to w przypadku alej, koszty opieki nad którymi nie przekraczają raczej możliwości lokalnych budżetów...

– Dla nas aleje przydrożne to cenny element krajobrazu kulturowego i naturalnego, wizytówka regionu, ale dla innych drewno z wyciętych drzew to jest potencjalnie olbrzymi majątek! Przy drogach rosną np. jesiony, które są poszukiwane przez producentów mebli, a nie mamy zbyt wielu jesionów w polskich lasach. Z drugiej strony wycinka przydrożnych alej ułatwia remonty i modernizację infrastruktury drogowej realizowaną ze środków unijnych. Działania te są uzasadniane populistycznie względami bezpieczeństwa – stosowane były trafiające do przekonania wielu kierowców manipulacje, przerzucające na drzewa odpowiedzialność za wypadki czy wręcz czyniące z nich „cichych zabójców”. Rozbite samochody miały być konsekwencją nie prędkości nadmiernej w stosunku do warunków drogowych, ale obwiniano o to właśnie drzewa. Obserwacje pokazują tymczasem, że jest dokładnie na odwrót i wraz z usunięciem drzew prędkości wzrastają, a wypadki stają się jeszcze bardziej śmiertelne. Z alejami jest bardzo podobnie jak z zabytkami – również w tym przypadku jedna decyzja może błyskawicznie zniszczyć dorobek wielu pokoleń, który stanowi o wyjątkowości lokalnego krajobrazu. Problemy zaczęły się wiosną 2004 r., gdy zmiany w ustawie o ochronie przyrody umożliwiły de facto wycinkę przydrożnych drzew bez konieczności ubiegania się o zezwolenie – wystarczyło uznać je arbitralnie za zagrożenie dla infrastruktury drogowej czy

bezpieczeństwa na drodze. W odpowiedzi jesienią 2004 r. zainicjowaliśmy akcję „Ratujmy aleje”, która trwa do dzisiaj, a po drodze za jej sprawą odbyła się pierwsza w Polsce interdyscyplinarna konferencja i ukazała się książka na temat alei przydrożnych oraz znowelizowano w 2010 r. przepisy ustawy o ochronie przyrody. Udało się też wpłynąć na zmianę świadomości ludzi. Wielu drogowców nie mówi już: „Musimy wyciąć wszystkie drzewa z poboczy dróg!”, ale „Drzewa to ważny element krajobrazu” albo „Sposobem na ograniczenie liczby zabitych na drogach w regionie powinny być nie tylko wycinki drzew, ale edukacja kierowców, bowiem aleje wymagają innego sposobu jazdy”. Przykład alej pokazuje też, jak trudno oddzielić ochronę krajobrazu kulturowego – którą przede wszystkim zajmuje się nasze stowarzyszenie – od ochrony przyrody czy krajobrazu naturalnego. Dziedzictwo kulturowe kształtuje się i funkcjonuje zawsze w określonym kontekście krajobrazowym i przyrodniczym. Teraz jest to prawda niemal powszechnie uznawana, ale gdy zaczynaliśmy działać, to istniały z jednej strony organizacje ekologiczne, a z drugiej towarzystwa miłośników zabytków – między tymi środowiskami właściwie nie było współdziałania. My staraliśmy się od początku działać na obu frontach – z jednej strony np. zabiegając o utworzenie na Mazurach parku narodowego, a z drugiej walcząc o znajdujące się na tym terenie zabytki. Aleje należą do obu tych światów – jako dzieło człowieka są ważnym elementem krajobrazu kulturowego, a zarazem są to obiekty przyrodnicze mające wkład w bioróżnorodność.

– Jak zmieniły się Mazury od czasu Waszej przeprowadzki przed ponad 25 laty?

– Zmieniały się i zmieniają – niestety – w sposób niekontrolowany. Wynika to z braku planów zagospodarowania przestrzennego i z mentalności zarówno naszej klasy samorządowej i politycznej, jak i biznesowej, które nie cenią krajobrazu jako wartości samej w sobie. Liczy się tylko cena rynkowa ziemi lub tego, co na niej stoi. Dlatego też masowo

sprzedaje się brzegi jezior, „zagospodarowuje” wyspy, a nawet grodzi całe jeziora. Pokolenie, które nadaje dziś ton życiu społecznemu, nie ceni ani dzikiej natury, ani harmonijnego krajobrazu kulturowego, nieprzekształcanego dla doraźnych celów. Jeśli miałbym określić podstawowe tendencje ostatnich dekad, to byłyby to przede wszystkim pogłębianie się chaosu przestrzennego i pozbawiona zahamowań komercjalizacja przestrzeni publicznej, a wręcz jej rabunkowa eksploatacja. Dla doraźnych zysków ekonomicznych czy politycznych można zniszczyć najcenniejsze kulturowo czy przyrodnicze miejsca, bo przecież krajobraz jest „niczyj”.

– A jak zmieniły się Mazury pod względem społecznym? Czy dotyka ich wyludnienie, jak ma to miejsce choćby na ścianie wschodniej, czy wręcz przeciwnie, osadników przybywa?

– Mieszkam w centrum Mazur, między Mikołajkami a Rucianem Nidą, czyli w najbardziej turystycznej części regionu. W związku z tym tutaj nie odnotowujemy wyludniania. Zmienia się natomiast struktura społeczna. Coraz więcej działek wykupują zamożni ludzie spoza Mazur, którzy traktują je jako sezonową bazę wypadową. Są w naszej okolicy miejscowości, w których poza sezonem praktycznie nie ma żywego ducha – zostają dwie czy trzy rodziny, a cała reszta wyjeżdża, zostawiając za sobą krajobraz jak z filmów grozy.

– Jak dogadywaliście się jako przyjezdni z lokalną społecznością? Jak, wraz z kolejnymi podejmowanymi przez Was działaniami, zmieniały się te relacje?

– To złożona kwestia. Wielu „tutejszych” niezbyt ceni to, co mają, tę kulturową specyfikę Mazur. Ale w przypadku Mazur, co wynika z ich historii, problematyczny jest sam podział na lokalną społeczność i ludność napływową. Po 1945 r. nastąpiła tu przecież niemal stuprocentowa wymiana ludności. Od tego czasu zdecydowaną większość stanowią ludzie wykorzeni, przybysze z dawnych Kresów Wschodnich, Mazowsza, a zwłaszcza Kurpiowszczyzny, a także przesiedleńcy z Akcji Wisła. Oni nie identyfikowali się z tutejszym krajobrazem, nie traktowali go

jako czegoś swojego. Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe. Otoczenie, do jakiego byli przyzwyczajeni, mogło być bardziej płaskie, jak w okolicach Lwowa, albo górzyste, jak w Beskidach, ale nie jeziorne. Przeniesienie na Mazury oznaczało dla nich ponadto przeskok do infrastruktury z innego stadium rozwoju cywilizacyjnego niż to, które znali. Zdecydowana większość nowo przybyłych wychowała się w budownictwie drewnianym (takie przecież były wsie na Kresach, Kurpiach czy Beskidach), a na Mazurach dominowały już wówczas domy murowane. Na brak emocjonalnego związku z tym, co tu się zastało, nakładał się strach, że te nowe małe ojczyzny (i wszystko, co w nich zastali) jest tymczasowe, nie nasze, „poniemieckie” – to ostatnie określenie wciąż powszechnie się przecież stosuje. Krajobraz Mazur, tutejsza przyroda i kultura materialna, były dla osiedleńców – jak to się często określa – dziedzictwem niechcianym, obcym. Pokłosie tej historii zbieramy do dziś. Bodaj 2 lata temu ostatni raz słyszałem tego typu myśl wypowiedzianą wprost. To był leśniczy, który miał do mnie pretensje, że nie mógł swojego zabytkowego domu ocieplić styropianem – na remont nie zgodzili się konserwatorzy. „Bo to pan pisał artykuły do gazet, że nie wolno, bo to cenne, zabytkowe”. Ja na to: „No tak, to jest cenne, bo to jest nasze dziedzictwo”. A on: „Jakie tam dziedzictwo, jak to wszystko poniemieckie”. To samo, jakieś 5 lat temu, powiedział były burmistrz naszej gminy. Jak się ma tego typu podejście do swojego otoczenia, to trudno o nie dbać. M.in. dlatego nasze działania były długo postrzegane jako dziwactwo. Oprócz tego czynnika, związanego ze specyfiką Mazur, trzeba dodać, że mamy do czynienia też z szerszym, dotyczącym całej Polski (i nie tylko Polski) trendem ujednolicania wyglądu miasta i wsi: wszędzie kładzie się te same bruki, stawia te same ławki i latarnie, otwiera sklepy tych samych sieci, montuje identycznie wyglądające okna z PCV, ociepla się domy tym samym styropianem, wykańcza sidingiem itd. Znikają tradycyjne wioski, które zarówno z racji pełnionych funkcji, jak i wyglądu przypominają coraz bardziej miasteczka, natomiast miasteczka przypominają osiedla wielkich miast. Ludzie, którzy

coraz mniej cenią sobie wszystko to, co kojarzy się z wiejskością, dziwią się, po co chcemy pielęgnować stare drewniane domy i inwestować w ich przetrwanie. Trochę oczywiście generalizuję, ale takie myślenie jest rozpowszechnione. Z drugiej strony mamy pośród miejscowych niemałą rzeszę zwolenników naszych działań, szczególnie w młodym pokoleniu, wśród ludzi, którzy się tu urodzili i wychowali, a jednocześnie widzieli, jak dba się o lokalne dziedzictwo na Zachodzie. Niestety tych pierwszych jest znacznie więcej niż tych drugich...

– Czy często spotykacie się z zarzutem, że jesteście hamulcowymi rozwoju lokalnego?

– Ten zarzut pojawia się od samego początku. Wbrew temu, co się o nas mówi, nie jestem jednak przeciwnikiem rozwoju, nie mam np. nic przeciwko powstawaniu współczesnej architektury. Chciałbym po prostu, żeby nie gryzła się ona z otoczeniem. Problemem jest natomiast zalew tandety i kiczu oraz chaos przestrzenny. Co drugi dom, który powstaje obecnie na Mazurach, projektuje się na wzór willi z amerykańskich seriali lub kolumnowych dworców mazowieckich, których w tym regionie nigdy oczywiście nie było. Wbrew temu, co słyszymy, nie jesteśmy też przeciwko modernizacji infrastruktury drogowej, wprost przeciwnie. Apelujemy tylko o to, by uczyć się na doświadczeniach zachodnich. Tam też swego czasu wycinano przydrożne drzewa na potęgę, a teraz z powrotem je nasadzają, bo doszli do wniosku, że sprzyjają one nie tylko estetyce krajobrazu, ale i bezpieczeństwu, osłaniając drogi od słońca i niwelując owo pozorne poczucie bezpieczeństwa, które – jak potwierdziły liczne badania – skłania kierowców do dociśnięcia pedału gazu i bardziej ryzykownej jazdy.

– Działania w obronie lokalnego krajobrazu czy choćby na rzecz parku narodowego stawiają Was zapewne w opozycji nie tylko do kierowców, ale i lokalnych przedsiębiorstw, np. związanych z przemysłem drzewnym.

– Ale powiedzmy sobie jasno, że przemysł drzewny też nie ma zbyt wiele wspólnego z nowoczesnością i rozwojem, które jakoby hamujemy. To nie jest przecież przemysł innowacyjny, ale oparty na eksploatacji surowców naturalnych, czyli lasów. Jeśli wizja rozwoju proponowana przez lokalne władze ma się sprowadzać do tego, żeby kolejne pokolenia mieszkańców żyły tu tylko z wycinania lasów czy zbierania chrustu, jagód i grzybów, to jak najgorzej świadczy to o kondycji tutejszych samorządów. Uważamy, że nowoczesność i rozwój na Mazurach mogą się wiązać choćby z wysokiej jakości zrównoważoną turystyką i jej łagodnymi formami (turystyka studyjna, kulturowa, kulinarna, ekologiczna, muzealna, rowerowa, industrialna etc.). Z tego żyją całe regiony i państwa – przeciętnie w Unii Europejskiej turystyka generuje 11 proc. PKB i aż 12 proc. wszystkich miejsc pracy. Dobrym przykładem tego modelu rozwoju jest chociażby włoska Toskania, o której nie sposób powiedzieć, że jest zacofana i nie rozwija się, robi to jednak w stylu „slow”, szanując krajobraz i dziedzictwo kulturowe, i czerpiąc z tego faktu ogromne korzyści. Właśnie w tego typu wizji rozwoju widzimy szansę na liczne i stabilne miejsca pracy w regionie – np. samo utworzenie parku narodowego oznaczać będzie utworzenie 100-150 stanowisk. Jak ogromny potencjał tkwi w turystyce przyrodniczej okazuje też przykład małej wsi na rubieżach Polski – Białowieży, gdzie powstał ostatnio czterogwiazdkowy hotel „Żubrówka”. Tylko on jeden daje zatrudnienie ponad 100 osobom. Żaden okoliczny tartak tyle nie zatrudnia. A to już jest czwarty czy piąty hotel w tamtej okolicy, nie mówiąc o tym, że w co drugim gospodarstwie są pokoje do wynajęcia, że przez cały rok funkcjonują restauracje itd. Uważam, że turystyka oznacza – także pod względem ekonomicznym – ogromną szansę dla cennych przyrodniczo i unikalnych krajobrazowo regionów, nieporównywalną z tym, co zapewnia im przemysł drzewny. Oczywiście trzeba dodać, że nasza wizja nie oznacza zamknięcia wszystkich tartaków czy likwidacji branży drzewnej. Park narodowy na Mazurach, o którego utworzenie od lat zabiegamy, nie byłby nawet większy niż obecny park krajobrazowy, w którym

już i tak istnieją pewne obostrzenia i zakazy. Nie negujemy też konieczności przeprowadzenia rzetelnego rachunku ekonomicznego. Jeżeli okazać by się miało, że tutejsze gminy tracą na utworzeniu parku narodowego, zgodnie z nazwą służącego całemu narodowi, to straty te powinny zostać zrekompensowane przez cały naród, a więc pokryte z budżetu państwa, a nie ponoszone tylko przez społeczności lokalne.

– Niezbyt pochlebnie odnosił się Pan do lokalnego samorządu. Czy mógłby Pan powiedzieć więcej o tym, jak wyglądają Wasze z nim relacje?

– Dotyczy to tylko ochrony dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego. Faktycznie władze lokalne nie słuchają naszych (tj. licznych organizacji pozarządowych skupiających pasjonatów, ale też fachowców) argumentów. Od lat tkwią w przekonaniu, że ochrona przyrody i lokalnego krajobrazu to są nikomu niepotrzebne fanaberie ekologów. Sami nie mają jednak dla tych „fanaberii” żadnej alternatywy oprócz wspomnianej już wizji rozwoju gospodarczego opartego na zbieractwie. Mało tego: zapominają, że są one ustawowymi organami ochrony przyrody! Tymczasem od momentu przekazania samorządom lokalnym stosownych kompetencji ochrona ta staje się coraz słabsza: do kilkunastu lat nie powstają postulowane parki narodowe czy krajobrazowe, nie zwiększa się powierzchni już istniejących, obszary chronionego krajobrazu to fikcja, liczba pomników przyrody maleje etc. Podobnie jest też z zabytkami – z własnego doświadczenia wiemy, że samorządy lokalne oraz administratorzy dobra wspólnego (zarządcy dróg czy lasów) często odwołują się od wpisywania cennych obiektów i budowli do rejestrów zabytków, a nawet je likwidują.

– Można odnieść wrażenie, że podstawowym polem konfliktu jest to, co w naszej rzeczywistości jest nowoczesnością, a co zacofaniem. Dla jednych anachronizmem będzie ochrona, dajmy na to, zabytkowych kuźni, a dla innych kostka Bauma. Jedni szansę na postęp dostrzegają w wiatrakach energetycznych stawianych bez umiaru i bez względu na krajobraz, a drudzy w

zrównoważonej turystyce.

– Czy odwrót od tradycji i tożsamości regionalnej jest rozwojem? A może wręcz na odwrót? Czy postępek jest niszczenie dla doraźnych korzyści miejsc najcenniejszych przyrodniczo? Czy powielając błędy popełnione wiele lat temu w innych państwach europejskich – zamiast korzystać z ich doświadczeń – nie tworzymy właśnie „skansenu mentalnego”? Gdy uczymy się na błędach innych, obserwując, ile czasu i wydatków potrzebowali oni na ich usunięcie, możemy przecież rozwijać się bez podejmowania działań szkodliwych dla krajobrazu. Nie musimy sami sprawdzać ich skutków. Dobrze, że wspomniał Pan o wiatrakach. Od lat współtworzymy koalicję „Bezpieczna Energia”, w ramach której walczymy z chaotycznym ich stawianiem, zabiegając o ustalenie zasad ich lokalizacji i ustanowienie stref ochronnych wokół siedzib ludzkich i miejsc cennych krajobrazowo, w których nie mogłyby być stawiane. Zarzuca się nam w związku z tym – dla odmiany – że jesteśmy nieekologiczni, bo przecież wiatraki to odnawialne źródła energii. Rzeczywiście do tak rozumianej ekologii byłoby nam daleko. Podkreślamy, że koszty, w tym ekologiczne, wybudowania i eksploatacji wiatraków są znaczne, nie mówiąc już o względach estetycznych, niszczeniu krajobrazu itp. Nie sprzeciwiamy się wiatrakom jako takim, ale żądamy racjonalnej polityki ich lokalizowania. Bo przecież Unia Europejska narzuca nam politykę energetyczną, ale robi to w trosce o środowisko naturalne i krajobraz, o którym w Europejskiej Konwencji Krajobrazowej zapisano, że „jest kluczowym elementem dobrobytu całości społeczeństwa i jednostek”. U podstaw promocji unijnego programu rozwoju energetyki odnawialnej leżą poprawa stanu środowiska i ochrona krajobrazu, a więc stawianie wiatraków nie może prowadzić do niszczenia środowiska i trwałej degradacji krajobrazów, lecz powinno być narzędziem do osiągnięcia tych celów, m.in. poprzez ograniczenie emisji CO₂.

– Czy dostrzega Pan jakąkolwiek szansę na porozumienie między

tymi przeciwstawnymi sposobami myślenia – z jednej strony rzeczników rozwoju zrównoważonego, a z drugiej zwolenników i beneficjentów aktualnej struktury społeczno-gospodarczej regionu?

– Trudno o pogodzenie rozwoju zrównoważonego z chaotycznym. Tak samo jak nie do pomyślenia wydaje się kompromis między ochroną krajobrazu a masowymi wycinkami drzew z poboczy dróg i ulic, betonowaniem brzegów jezior czy rozbieraniem zabytkowych budynków przez deweloperów. Jeśli natomiast chodzi o dojście do porozumienia z konkretnymi ludźmi, którzy tu mieszkają i w ten sposób myślą, to jestem przekonany, że jest ono możliwe. Dlatego nie ustajemy w działaniach i próbach przekonywania lokalnych społeczności do naszych pomysłów. Obawiam się jednak, że do prawdziwego przełomu potrzebujemy dużo czasu i wymiany pokoleniowej, bo – jak wspominałem – z młodszymi generacjami jest nam o wspólny język dużo łatwiej. Zdecydowanie najtrudniej jest nam się dogadać z lokalnym establishmentem politycznym. Na przykład w sprawie parków narodowych nie pamiętam nawet jednego przypadku, żeby udało nam się choćby wejść na poziom merytorycznej dyskusji – praktycznie zawsze kończy się ona na jałowych przepychankach. Brakuje po tej stronie dobrej woli, żeby usiąść wspólnie i porozmawiać, choćby tylko na gruncie solidnie przeprowadzonego rachunku ekonomicznego. Rachunek ten powinien jednak uwzględniać nie tylko nasze doraźne korzyści, ale też interes przyszłych pokoleń! Nie możemy przecież przejeść i przehulać całego dziedzictwa przyrodniczego i kulturowego, które nam przypadło w udziale – musimy myśleć o tym, co będzie za 50 czy nawet za 100 lat. Czy nasze wnuki i prawnuki zobaczą jeszcze na Mazurach las, czy będą mogły kąpać się w jeziorach i czy zabytki będą mogły zobaczyć już tylko na zdjęciach archiwalnych?

– Dziękuję za rozmowę.

Z Krzysztofem Worobcem rozmawiał Marcelli Sommer

Źródło: NowyObywatel.pl